

Tajemnice świata stepowych gauchos

Ludzie — psy policyjne

Rastreadory — argentyńscy tropiciele śladów

Olbrzymie, jedne z największych w świecie, stepy Argentyny, słyną ze swych gauchos, pastuszy wielkich stad koni, myśliwych, włóczęgów, przemierzających bezkresne pampasy we wszystkich kierunkach z północy na południe, z zachodu na wschód. Stopniowo wraz z postępującym uprzemysłowieniem kraju i racjonalizowaniem hodowli, zamiera romantyczny typ gaucha, człowieka niezależnego, wolnego, żyjącego wyłącznie z przyrodą i wysoko ceniącego sobie swobodę. Tabuny przeksztalcają się z roku na rok w należycie zorganizowane hodowle koni i coraz mniej gauchos staje na starcie słynnych dorocznych wyścigów cowboyskich, jakie odbywają się w stolicy Argentyny.

ŚWIAT GAUCHOS

W zamierzającym jednak świecie pełno jeszcze oryginalnych typów, jakby żywcem wziętych z dawnej epoki, uderzających swą malowniczością oryginalnością. Jeden z pisarzy południowo-amerykańskich, Domingo F. Sarmiento, w swych wspomnieniach opisuje właśnie osobliwości dawnego życia gauchos.

Niewątpliwie jednym z najciekawszych typów, jakie wydały stepy argentyńskie, są poszukiwacze śladów. Sarmiento opowiada ciekawy wypadek ze swej własnej podróży, kiedy to przewodnik zauważywszy ślad na stepie, powiedział, że tędy właśnie przeszła wczoraj mulica, należąca do stada Don Zapata, osiadła i obciążona. Przewodnik podążając pisarza przybywał wraz z nim z Sierra de San Luis, Don Zapata powracał z Buenos Ayres i od roku przewodnik nie mógł widzieć mulicy, a mimo to rozpoznął od razu jej ślad. Jak twierdzi Sarmiento, nie jest to w tych stronach uważane za nic nadzwyczajnego i bystrość przewodnika w odczytywaniu śladów dała się nawet porównać z zdolnościami zawodowego rastreadora.

RASTREADOR - TROPICIEL

Rastreador jest to człowiek, który trudni się poszukiwaniem i odczytywaniem śladów, oddając

swoje usługi ludziom pragnącym kogoś ścigać, odnaleźć, przyczem często zdarza się, że z obserwacji rastreadora korzysta policja. Rastreador wyróżnia się swym zachowaniem wśród otoczenia: świadomość posiadanej tajemniczej wiedzy budzi w nim uczucie dumy i w postaci rastreadora ma być się zawsze godność i dyskretna rezerwa w stosunku do otoczenia. Do rastreadora wszyscy odnoszą się z szacunkiem — biedny, ponieważ rastreador może go zgubić, rzucając na niego oskarżenie, bogaty, ponieważ nie raz może prosić rastreadora o pomoc w odzyskaniu swej własności.

Jeżeli np. w czasie nocy zostanie popełniona kradzież, natychmiast po stwierdzeniu kradzieży starają się odnaleźć ślad nogi złodzieja, starannie go chronią przed zniszczeniem i wzywają natychmiast rastreadora. Rastreador niemal nie spogląda na ziemię, idzie krok w krok za śladem, zupełnie tak, jak gdyby jego oczy widziały odcisk niewidoczny dla innych. Rastreador mijając ulicę, przechodzi przez pola, prowadzi nieraz nawet do innej wsi czy do innego miasta, aż w końcu zawsze wejdzie do domu, w którym wskaże człowieka — złodzieja. Niższe instancje sądów argentyńskich uważają świade-

ctwa rastreadora za oczywisty dowód winy, pozatem wykryty złodziej najczęściej sam się przyznaje, uważając przybycie rastreadora za wyrok losu.

STARZEC — POSTRACH PRZESTĘPCÓW

Jednym z najgłośniejszych argentyńskich tropicieli, którego Sarmiento znał osobiście, był 80-letni starzec, Calibar, który zgórą przez 40 lat był rastreadorem, a następnie w tajemniczym kunszcie wykształcił swych synów. O Calibarze opowiadają, że pewnego razu, gdy wyjechał z domu do Buenos Ayres, skradziono mu odświętne siodło. Żona Calibara starannie okryła i zachowała ślad, a kiedy rastreador wrócił z podróży w dwa miesiące później, mimo prawie zatar tego już śladu, rozpoczął poszukiwania. Z początku nie doprowadziły one do żadnych wyników, ale gdy w półtora roku później Calibar przechodził ulicą jednego z przemiejsc, spostrzegł ślad, który dziwnie zwrócił jego uwagę. Poszedł za nim i wkrótce znalazł się w domu, gdzie w przedzionku wisiało jego skradzione siodło.

W POŚCIGU ZA ZBIEGIEM

W roku 1830 z więzienia uciekł pewien przestępca skazany na śmierć — Calibara wezwano do

odszukania zbiega. Uciekinier przewidując, że będą go ścigać, idąc po śladach, używał wszystkich sposobów, ażeby ślad zatrzeć. Stapał więc nieraz całe setki metrów wyłącznie na piętach, wdrapywał się na mury, siedł w jakimś kierunku i wracał po własnych śladach, wędrował brodząc po wodzie, albo nawet skacząc z drzewa na drzewo. Wszystko napróżno. Calibar ani razu nie stracił śladu i w końcu doprowadził pościg do miasteczka, którego rowy przydrożne były napełnione wodą. Przestępca wykorzystał to do swej ucieczki, idąc wyłącznie dnem rowu, tak, że wszedł ki ślad zniknął. Rastreador odnalazł jednak ślad w kilku kroplach wody, zawisłych na trawie, rosnącej nad rowem. Oczywiście trudno przypuszczać, ażeby Calibar dostownie „szedł za śladami” uciekającego. Rastreadorzy kierują się raczej intuicją i właściwie jest to swoisty rodzaj jasnowidzów. W każdym razie pościg za zbiegiem z więzienia skończył się schwyтaniem uciekającego.

Towarzyszący Calibarowi żandarmi nie chcieli uwierzyć, gdy ten wskazał im na mury winnicy i zapewnił, że w niej ukrył się przestępca. Przeprowadzono rewizję skrupulatną, nie znaleziono jednak zbiega i dopiero, gdy Calibar powtórnie już własnym nadzorem przeszukał winnicę, pojmano złoczyńcę, który nazajutrz został stracony.

Pościg ten był niezwykle trudną próbą, nawet dla tak słynnego rastreadora, jak Calibar, ale w tym wypadku była już zaangażowana cała opinia Calibara i to za pewne pozwoliło mu tak nateńczyć swą zdolność odzukiwania śladów, że nie poniósł porażki.



Pani i pan

Niczego tak nie zazdroścę pewnym ludziom, jak dobrego mniemania o sobie.

Gdy gołęb się rano, spoglądam z konieczności w lustro, widzę moje wiele niesympatyczne odbicie, które nastrecza mi masę kłopotu swoim dziwnym wyglądem, trudnym do prowadzenia charakterem i niesolidnym postępowaniem w stosunku do mnie samego.

Patrzę z wyrzutem na tę osobistość i mam jej wiele do zarzucenia.

I dlatego zazdroścę takiemu np. panu X.

Jest czyściutki, pachnący i ma bystre spojrzenie. Ilekroć wchodzi do kawiarni, czuje, że wszystkie kobiety patrzą w niego jak w tęczę. Przechodząc obok lustra rzuca spojrzenie zukosa i konstatuje nieomylnie, że jest przystojnym mężczyzną, wcale nie gorzej od Garry'ego Coopera czy Adolfa Menjou, widząc to z jego miny. Gdy idzie ulicą, zatrzymuje się często przed witrynami. Nie interesują go bynajmniej wystawione w oknie towary, nie, pan X, widzi rzecz znacznie efektywniejszą — swoje odbicie w wystawowej szybie, gentlemana wyciętego z londyńskiego żurnalu. Uśmiecha się z dumą do swego odbicia, a namiętnie panuje sklepowej myśli, że piękny pan z ulicy uśmiecha się do nich.

Tak, to rozumie, pan X, ma wiele w życiu przyjemności, nastrecza mu je każda okazja, każ-

de spotkanie, spojrzenie, uśmiech własny czy cudzy. Zawistne spojrzenia innych panów są również ku jego chwale, tak, oni czują, że są przy nim mizerni i mali.

Jego godną partnerką jest pani Y. Blondyna o budowie karjatydy i gładkiej cerze.

Pani Y. spogląda na świat oczami, które niby przyrzątał przepuszczają tylko te zjawiska, które mogą być dla niej pożyteczne, tylko te, innych zjawisk pani Y. nie dostrzega.

Wie, że jest piękna. Z tego tytułu wymaga wiele świadczeń od swego otoczenia, nie dając nic wzamian, bo poco? Przecież to, że jest piękna, to chyba wystarczająca rekompensata.

Jeżeli znajdzie się przypadkiem taki, który nie zechce jej pójść na rękę, pani Y. nie dziwi się temu bynajmniej. Cóż, ten człowiek jest ślepy, nie dostrzega tego, że ona jest piękna, a zatem jest to kaleka, którego nie można winić z tej racji.

Wychodząc z teatru czy kina, pani Y. współczuje biednym artystom, że nie są tak piękne jak ona i że musza prowadzić takie okropne zakulisowe życie.

Sądziacie państwo, że pani Y. wyjdzie za pana X-a?

O nie, nie z tego. Ci ludzie nigdy nie popełnią tej gaffy, gdyż pani Y. nie odda ręki panu X-owi, uważając, że nie jest dostatecznie jej godny i odwrotnie, pan X. będzie traktował panią Y. jak durniaka, którą należy karcić obojętnością.

I cóż ja znaczę przy tych wspaniałych ludziach? Jakież są moje biedne kwalifikacje? Toteż ogromnie zazdroścę tym ludziom dobrego mniemania o sobie. Jur.

6 wagonów pokarmów spożywamy w ciągu życia

Zdaje się nam, że w ciągu dnia nie spożywamy znowu tak wiele pokarmów. Dopiero gdy dowiadujemy się, ile np. towarów spożywczych zwozi się codziennie do wielkiego miasta, patrząc z podziwem na astronomiczne, niemal liczby wypitych litrów mleka, zjedzonych bułek i t. p. Zdziwiliśmy się jednak o wiele więcej, gdybyśmy nagle zobaczyli tę ilość pożywienia, jaką człowiek zjada przeciętnie w ciągu życia. Jeżeli przyjąć, że człowiek żyje 70 lat, to w przeciągu tego czasu zjadłby 14 ton chleba, przy założeniu, że człowiek zdrowy zjada dziennie około trzech czwartych kg. pieczywa. W obliczeniu tem uwzględniono już mniejsze

spożywanie chleba w pierwszym i ostatnim dziesięcioleciu.

Jarzynę zjedzone w ciągu 60 lat, utworzyłoby stos, ważący 2 tonny. Z samych liści sałaty, jakie człowiek zjada w ciągu całego życia, można by sporządzić dywan, któryby zakrył powierzchnię 12-tu wielkich pokoi. Jaj zjadamy 10.000, soli, której przecież zaledwie szczyptę bierze się do potrawy, spożywamy 750 kg. Płynów wypijamy około 37.000 litrów. Ogółem człowiek w ciągu 70 lat życia spożywa 45 ton stałych pokarmów oraz 43 ton płynnych, co razem daje 88 ton pożywienia. Ażeby przewieźć te wszystkie pokarmy, potrzebowałby małego pociągu towarowego,

Japońscy Rockefellerowie „Wielka czwórka” — koncentruje największe kapitały w swych rękach

Wśród właścicieli fabryk i kapitalistów japońskich istnieje specjalna grupa potentatów, składająca się z 20 osób, a z tych „wielkich” największymi są członkowie „Wielkiej czwórki”, stanowiącej prawdziwy filar kapitału japońskiego i wywierającej znacz-

ny wpływ na całe życie w Japonii. Są to rodziny Mitsui, Iwasaki, Yasuda i Sumitomo.

Niedawno święcił rocznicę 300-lecia założenia domu Mitsui. W okresie ostatnich lat czterdziestu lat ten przeksztalcał się znacząco, a obecnie jest to potężny kon-

cern finansowy nawskróś nowoczesnego typu. Rozporządza dziś kapitałem 3 miliardów jenów.

Mitsui — to przedewszystkiem banki, ubezpieczalnie, domy handlowe, zakłady przemysłowe i t. d. Mitsui ma również monopol na zakupy jedwabiu na eksport, to znaczy na zakupy najważniejszego artykułu w handlu japońskim, oraz monopol na eksport tkanin bawełnianych i przędzy. Firma Mitsui ma pozatem prawo pierwszeństwa w przywozie bawełny. Jasnym jest więc, że ma decydujące słowo w japońskim przemyśle włókienniczym.

Z domem Mitsui rywalizuje rodzina Iwasaki, właścicielka koncernu Mitsubishi, rozporządzająca kapitałem 2 miliardów jenów. Ponieważ ród Iwasaki był już na końcu XIX w. dobrze ustosunkowany, otrzymał do ręki doki rządowe i żegluga państwowa. Stał się „królem żeglugi japońskiej”.

Trzecim Rockefellerem japońskim jest Yasuda, właściciel 14 banków, tużina towarzystw ubezpieczeniowych i rzeczywisty właściciel kilkudziesięciu wielkich zakładów przemysłowych i handlowych. Bankier Yasuda objął również niedawno swą mocą olbrzymi koncern Asako, rozporządzający 80 procentami cementu japońskiego i wielkimi dokami.

Koncern Sumitomo odgrywa ważną rolę w japońskiej ekonomii politycznej. Sumitomo kontroluje kapitał w wysokości 1 milarda jenów, przyczem głównie interesuje się przemysłem metalurgicznym. Sumitomo — to przedewszystkiem miedź i stal.

Wszyscy wymienieni kapitaliści odgrywają dużą rolę nie tylko w świecie finansowym, lecz i w polityce japońskiej.

(C. d. n.).

FRANCIS DE CROISSET

DAMA z MALAKKI POWIEŚĆ

Audrey Greenwood ma 24 lata. Wychowana w zamożnym domu, wskutek przedwczesnej śmierci ojca, musiała się wziąć do pracy. Została więc nauczycielką angielskiego na pensji p. Tramon w Paryżu.

Wtedy zakochany w niej Herbert Carter proponuje jej małżeństwo, a po ślubie wyjazd na Daleki Wschód, gdzie ma zająć posadę doktora. Mimo, iż Audrey nie kocha Cartera, wychodzi za niego wbrew swej woli jedynie z myślą o bujniejszym życiu, jakie ją prawdopodobnie czeka.

Z przyjaciółką swą, p. Turpin, — Audrey po ślubie udaje się po sprawunki. Okazuje się, że Audrey... ma serce.

Jej mąż, Herbert, jest ogromnie uszczęśliwiony małżeństwem, ale...

— Tak — odparł z przekonaniem pani Turpin. — To jest też kwestja fluidu. Przepowiadałam ważne rzeczy i prawie zawsze się sprawdziły. Wychytałam naprzekład w kartach, że zostanie nagrodzona przez akademję. No, zaczynamy. — Poprawiła okulary i ułożyła starannie stos kart. — Mamy tu powodzenie, miłość, dzieci, zdrowie, szczęście.

Pani Turpin odmieniona, pełna wewnętrznego podniecenia, straciła swój zwykły wygląd.

— Proszę o papierosa.

— Jakto, pani pani?

— Widzisz, znowu powracam do złych przyzwyczajeń. Wyrzekłam się już dawno kart, palenia...

Rozezulona, rozśmieszona Audrey patrzyła na nią. Nie znała przyjaciółki. Kim był Turpin? A ona, ta, która kiedyś nazywała się Krystiana? — Ciekawa jestem,

czy miała kiedy kochanka? Pewnie nigdy się nie o tem dowiem.

— Proszę odkryć kartę — mówiła rozgoryczkowaną pani Turpin.

— Czy to ważna karta? — spytała się Audrey.

— Najważniejsza. Następne określają tylko okoliczności łagodzące. Od tej karty zależy wszystko.

W tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Weszła służąca, niosąc telegram.

— Dla pani Carter.

— Teraz zrobimy doświadczenie — zawołała Audrey. Zanim otworzymy depezę, odwrócimy kartę i zobaczymy, czy jedno zgadza się z drugim.

— Zgodzi się napewno — twierdziła pani Turpin.

Audrey nerwowym ruchem odwróciła kartę.

— As treflowy — oznajmiła pani Turpin. — Gazeta przyjmuje artykuły.

— Wolę jednak otworzyć telegram — odparła Audrey. Przeczytała go.

— To prawda. Wszystko się zgadza!

Jednym susem, jak rozdokazywane dziecko, wskoczyła na fotel, wynachując telegramem.

— Cóż tam napisane?

— Cudowne rzeczy. Przetłumaczę pani: „Mamy pełne zaufanie. Prosimy artykuł trzysta wierszy tygodniowo. Możliwie najwięcej oryginalnych zdjęć. Trzy i pół funta za artykuł plus dziesięć szylingów za przyjętą fotografię”. To dużo więcej, niż to, co zarabiałam u Tramon. Taka jestem rada!

Pocałowała panią Turpin, która niespokojnie chroniła kartę od zagłady.

— Nie rozrzucaj kart, śladz, dowiemy się reszty.

— Och, reszta... Cóż mnie może spotkać?

Audrey zupełnie obojętnie obracała karty, ale pani Turpin milczała. Patrzyła na piki, coery, kara i trefle i w jej spokojnych, rozszerzonych zdumieniem oczach wyczytać można było przerażenie.

Raźpukana podnosiła kotwicę w południe. Pasażerowie pierwszej klasy — w liczbie około czterdziestu osób —

wrócili już na pokład i oparci o parapet przyglądali się spóźnionym i nowym pasażerom.

W Marsylii nie wsiadał nikt, prócz jakiegoś malajskiego księcia, którego na wybrzeżu wyczekiwały jakieś oficjalne figury, oraz Herbert i Audrey. Duży statek wydawał się pusty. Choć był to dopiero koniec marca, letnie słońce złośliwie port. W pociągu, w którym Herbert zamówił dwa miejsca leżące, Audrey mogła się wyspać.

W wilgę tego dnia, w hoteliku na ulicy Riwoi przeszła przez Rubikon nocy posłubnej. Nietknięta od śmierci Eryka, strzeżona przez wspomnienia, uległa, ale się nie oddała.

— Trzeba przez to przejść — mówiła sobie.

Martwa pod naciskiem gniojących jej ust, starała się nie wspominać drogiej twarzy, nigdy tłuźniej jak dziś nie kochanej.

— Jeżeli będę myślała o nim, znienawidzę Herberta.

Usnął wreszcie. Audrey oswojona, spojrzała na zegarek: Godzina trzecia rano. Noc będzie jeszcze długa. Ostrożnie cofnęła się na brzeg łóżka, szukając chłodnego miejsca. Do pokoju wdzierały się odgłosy ruchliwej jeszcze ulicy. W oczekiwaniu na sen chciała im się przysilić: styłała jednak tylko nierówny oddech męża. Niestety, dlaczego nie był nim Eryk! Jego twarz ukazywała się jej znowu. Tym razem widzenie wzbudziło w niej uczucie nieśmiernej rozpacz. Herbert obrócił się, szepnął coś i nieświadomym ruchem wyciągnął rękę. Audrey zdusiła w sobie krzyk. Herbert spał dalej. Turkot uliczny milkł powoli; zaległa cisza. Miarowy oddech Herberta zapiełniał pokój. Audrey czuła się upokorzona i strasznie nieszczęśliwa.

— Nie powinnam była za niego wychodzić. Postąpiłam podle.

Nadzieja bujniejszego życia, które będzie odtąd jej udziałem, nieznane kraje czekające na nią, ciekawa reporterska praca, zapewnijająca niezależność, wszystko to nikoł wobec strachu podróży w czasie której będzie musiała dzielić z nim kajutę.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-jej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 60 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł, lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, te 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiec.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 666-99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 666-62 (dział polityczny i ekonomiczny); 666-61 (dział miejski i liter.-art.); 666-60 (miejsczynastowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedzieli i świąt w godz. 12-13. ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zgoda 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550. PRZEDSIĘWZIĘCIA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Oganka 26, tel. 135. PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa zł. 2.30 miesięcznie; wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.